

Noc sylwestrowa 1927/28

SOPOCKI GRAND HOTEL

Amira była bardziej goła niż ubrana, paliła egipskie cygaretki „Ramzes” w długiej lufce i strasznie się złościła, gdy mężczyźni zamiast kupować jej pieszczoty, przegrywali pieniądze w ruletkę.

– Nie pojmuję. Jeszcze w każdy inny dzień, ale w sylwestra... – syknęła i prychnęła jak kotka. – W sylwestra powinno się kasyna zamykać na trzy spusty!

Godzinę później zmieniła jednak zdanie, widząc, jak przed Erichem Schwahnem, majorem Kriminalpolizei, rośnie i rośnie apetyczny stosik żetonów. Jego passa trwała, nabierała rozpędu, wygrana na czarne, wygrana na parzyste, znów na czarne. Wreszcie major zerwał się z krzesła i gwałtownym ruchem obstawiał pojedynczy numer.

A potem już tylko odbiór forsy w kasie, mnóstwa forsy, aż Amirze zaćmiło się w oczach.

– Masz, mała, bierz, nie krępuj się. – Erich wcisnął jej dziesiątki i setki banknotów.

W restauracji tymczasem już strzelały korki od szampana.

– *Liebe Gäste!* – sapał czerwony na gębie dyrektor świeżo otwartego Grandu. – *Frohes Neues Jahr!*

– Pojedziemy do mnie? – Amira aż drżała z ekscytacji.

Schwahn chwilę się zastanawiał, po czym pokręcił przecząco głową.

– Nie, dziewczynko. Nie tym razem. Zupełnie nie mam nastroju.

Dla Amiry było to jak uderzenie w twarz.

– Co się z tobą dzieje? – spytała głosem piskliwym ze wściekłości. I zaraz sama znalazła odpowiedź: – To wszystko przez tę Polkę. Odkąd wróciłeś z Warszawy, tylko o niej myślisz. Jak upiórzyca wyżarła ci mózg!

Lecz te słowa skierowała już do jego chudego, zgarbionego grzbietu, bo Schwahn odwrócił się na pięcie i opuścił noworoczny jubel. W rozpiętym palcie, z kieszeniami pełnymi pieniędzy, skrzypiał butami po ośnieżonej plaży i wystawiał rozpaloną twarz na lodowaty podmuch. A nad zamarzniętym Bałtykiem wierny księżyc uwolnił się z chmur, by srebrzyć drogę przed samotnym wędrowcem.

Niedziela, 20 maja 1928,
późne popołudnie

KONSTANCIN, MATEJKI 10, WILLA KOGUCIK

Dziennikarz nazywał się Melchior Wańkowicz i jeszcze niedawno był w pewnym sensie moim kolegą.

– Pani policjantka, ja naczelnik wydziału prasowego MSW – zażartował, gdy siedliśmy u mnie w ogrodzie pod ukochanym moim krzywym dąbkim. – Pani zwalcza bandytyzm, ja w proch i pył obracałem pornografię. Cała Warszawa się śmiała, że taką misję powierzono amatorowi czteroliterowego słowa na d. Pewnie pani nie wie, ale Boy wyliczył, że ze wszystkich polskich ludzi pióra właśnie ja najczęściej go używam. *Bien. Revenons à nos moutons*¹. Jest pani córką Edwarda Lubochowskiego, naczelnego inżyniera w firmie Rudzki i Spółka², więc dzieciństwo spędziła pani w Mińsku Mazowieckim, bo tam była...

– ...i jest do dziś – wtrąciłam.

– Tak. Jest do dziś. Wielka gisernia, którą tato kierował. Był takim tuzem, że podobno na jego życzenie specjalnie dla pani otwarto w Mińsku gimnazjum żeńskie.

¹ *Bien. Revenons...* (franc.) – Dobrze. Wracajmy do naszych baranów. W przenośni: do tematu.

² Rudzki i Spółka – największa i najbardziej znana ze wszystkich polskich firm przed wybuchem I Wojny. Produkowała i montowała konstrukcje stalowe, głównie mosty.

– Zgadza się. Dyrekcja pisała w tej sprawie do samego cara, a hrabia Zamoyski, główny udziałowiec firmy, interweniował w Petersburgu u ministra oświaty.

– I, jak rozumiem, starania odniosły skutek?

– Ale to nie było tak, że piętnastu profesorów edukowało jedną Hanię. Miałam w klasie wiele koleżanek, córek pracowników Rudzkiego. Były wśród nich także dziewczęta z rodzin robotniczych. Niektórym firma opłacała chesne.

Mówiłam to wszystko panu Melchiorowi, a przed oczami jak film wyświetlała mi się przeszłość. Ewakuacja giserni do Jekaterinosławia, samobójcza śmierć ojca podczas rewolucji, moje pierwsze śledztwo, gdy pomogłam żandarmerii ująć mordercę sąsiada.

– Ile miała pani wtedy lat? Pewnie nie więcej jak szesnaście.

– Siedemnaście – sprostowałam. – Ale wpadłam w oko austriackiemu majorowi, więc mianował mnie swoją asystentką.

– W polskiej policji też długi czas była pani tylko sekretarką inspektora Dulęby.

– Bo kobiet jako detektywów nie zatrudniano. Dlatego z początku byłam prywatnym detektywem i dopiero kiedy ujęłam z moim współnikiem gang Friedmana i Skoczковского...

– Gang porywaczy uczennic?

– Tak, dopiero wtedy pod naciskiem opinii publicznej przyjęto mnie do Wydziału Kryminalnego.

– Nie chwałąc się, sam mocno za tym gardłowałam.

– Niestety, formalnie byłam tylko maszynistką.

Wańkowicz zadumał się na moment, po czym z irytacją machnął ręką.

– Ot, durnota polska. Przecież to musiało utrudniać pani pracę.

No nie ułatwiało. Ale mimo to udało mi się ująć przez te lata kilkunastu niebezpiecznych przestępców, a prawie drugie tyle

zastrzelić. Komendant główny powiedział nawet na jakiejś odprawie, że gdyby każdy polski policjant zabił tylu bandziorów co Lubochowska, nasz kraj byłby w Europie oazą spokoju.

Boże, zaraz spadnę z tego wyplatanej fotela albo jak kot zwinę się na nim w kłębek!

– Przepraszam, pani chyba jest senna. Może przyjadę innym razem – powiedział pan Melchior, zawieszając dłoń z notesem między blatem ogrodowego stolika a kieszenią białej letniej koszulki.

Nie chciał przerywać wywiadu. Jego wieczne pióro, wciąż odkręcone, leżało przed nim w pogotowiu. A ja tymczasem walczyłam ze sobą. Ze zmęczeniem po nieprzespanych nocach, podczas których, tępo zapatrzona w sufit, biłam się z myślami.

– To kwestia pogody – wytłumaczyłam. – Chyba zbiera się na deszcz.

Nad koronami drzew nie było ani jednej chmurki, jednak Wańkowicz nie oponował. Zadowolony na powrót otworzył notes.

– W takim razie niech mi pani opowie o Szumarskim³. W jaki sposób udało się pani dopaść go w leśnych ostępach?

I wtedy pod coraz cięższymi powiekami zaczynam widzieć drzewa, mnóstwo drzew, jedno tutejsze, konstancińskie, inne z puszczy, pomieszane, splątane ze sobą konarami. Mój ogród przeniósł się do Białowieży albo to Białowieża wdziera się do mnie przez płot. Nagle w tym labiryncie dostrzegam człowieka skradającego się z karabinem, chyba Mauserem, na ile znam się na broni. Jednocześnie bierzemy się na muszkę, pada pierwszy strzał, i wtedy – budzę się z krzykiem.

³ Aleksander Bajko zwany Szumarskim – groźny bandyta, a zarazem komunistyczny partyzant z Puszczy Białowieskiej, kierowany przez sowieckie służby specjalne.

Moje dwa psy, ujadając, podbiegają do łóżka, kot chowa się pod bielizniarkę, a w drzwiach sypialni, niczym duch, zjawia się gruba Matylda w białej nocnej koszuli. Moja niania i przyszywana babcia.

– Hanuś, co tobie? – Pochyliła się nade mną z troską. – Zły sen, tak? Jakież straszdyło przyśniło się mojej dziewczynce?

– Mati, co ja robię w łóżku? Gdzie jest pan Wańkowicz? – pytam niespokojnie. Czyżby ten wywiad też mi się tylko śnił?

– Pan dziennikarz? Ano dawno już pojechał. Takim dużym autem podobnym do twojego.

No tak, też miał Cadillaca. Z rządowej pensji i honorariów za książki. A mój był prezentem od przyrodniego brata, wielkiego amerykańskiego fizyka, który pracuje dla U.S. Army. Chyba Wańkowicz pytał się o niego, a ja zbyłam go jakąś półprawdą, bo trzymam w tajemnicy tę mroczną, rodzinną historię. Nawet Mati do końca jej nie zna.

– Boże, to znaczy, że miałam zupełną niepamięć – mówię na serio przestraszona.

– Nie martw się, Hanuś. – Matylda przytula mnie, jakbym znów była dzieckiem, jej podopieczną. – To z nerw. Jakem szła za Gienka, też okrutnie to przeżywałam. Każda jedna dziewczyna przeżywa.